

Byłem w Polsce – 26

6 października 2018

No a potem był stan wojenny – to wiesz... Zaczęła się reorganizacja, przyszli wojskowi komisarze, pułkownik siedział u mnie w gabinecie od świtu do nocy, wszystkich wzięli krótko za mordy i produkcja ruszyła! To co – napijemy się?

– Jasne.

Akurat weszła żona Włodka – Ewa – z zaproszeniem na kolację.

– A wie pani, pani Ewo, że dom piękny... zacząłem, bo rzeczywiście willa była ogromna i wspaniale urządzona.

– Jaka pani?! Jaka pani? Ewka jestem!

– A, to trzeba brudzia wypić! Ewcia – co ci dać żabciu – dżin z soczkiem, czy może czystą? – wtrącił się zaraz Włodzio.

– Jak brudzia to tylko czystą! Ale czy myśmy już kompletnie zwariowali? Nie pamiętasz mnie? Przecież my się znamy z uczelni, tylko że ja byłam na handlu!

– Ależ naturalnie! Przepraszam cię – chyba jakaś skleroza mi się na oczy rzuciła – tłumaczyłem się nieporadnie!

Ale w istocie rzeczy trudno ją było poznać, bo czas wszystko zmienia. W jej przypadku raczej na korzyść, bo kobieta była jak łania.

Znałem ją jako młodą dziewczynę. Już wtedy była ładna, ale teraz to była pani całą buzią, wysoka, na szpilkach, króciutko obcięta.

Tak, to przez te włosy – pomyślałem. Na uczelni nosiła długie, rozpuszczone... Zaraz jej to powiedziałem.

– O, to pamiętasz! – uśmiechnęła się wesoło.

– Jakżeż mógłbym zapomnieć – przymiliłem się, chcąc zatrzeć moje faux pas.

A więc kolacyjka, tatarak, wędlinki, grzybki, jakieś mięsko w ostrym sosie, bakłażany, coś tam jeszcze no i oczywiście wyborowa. Ewa wspomniała, że do tego mięska może by winko, ale Włodzio aż zamachał rękami:

– A co tam będziemy zmieniać! Wyborowa najlepsza! Patriotycznie Ewciu! Patriotycznie! Pamiętaj!

Wypiliśmy więc z ładnych, kryształowych kieliszków i drążyłem dalej:

– I co było dalej? Jak było w końcówce, a potem po 89- tym?

– Końcówka była marna, bo naprawdę wszystko się rozprzęgało i wyglądało na to, że nawet ci wojskowi komisarze troszkę osłabli, ale jeszcze mnie trzymali, jeszcze szło jakoś żyć ha, ha, ha! Nie narzekałem, ale powiem ci szczerze, że jak już wyprowadzali ten partyjny sztandar to czułem, że nie ma odwrotu i trzeba się na nowo ustawiać!

I popatrz się – tyle się człowiek narobił, naszarpał, łba ponadstawiał i wszystko na nic! Wszystko minęło jakbyśmy nigdy nie istnieli. Jeszcze się potem czepiali...

– Czepiali? To co – miałeś jakieś kłopoty?

– Eee, ja to nie – wiesz jak jest – ja sobie zawsze jakoś poradzę, ale wielu poszło na zieloną trawkę...

– No dobrze, a jak to teraz widzisz? Wygląda na to, że kraj kwitnie i naprawdę rośnie w siłę! Ludzie ładnie ubrani...

– A kiedy nie byli? – wtrąciła nagle Ewka. Ja tam nigdy goła nie chodziłam, no chyba żeby Włodziewi troszkę urozmaicić!

– Widzisz Marcin – to jest dziewczyna! – zachwycił się Włodek patrząc łakomie na Ewkę.

Ale czekaj, czekaj – mówisz, że kraj kwitnie, że tego- śmego... Zaraz widać, że tu nie mieszkasz! Z tym kwitnięciem to też nie jest i nie było tak prosto!

Widzisz...

I tu zaczęła się długa prezentacja Włodkowego stanowiska. Mówił o początku lat dziewięćdziesiątych, drapieżnym kapitalizmie, nadużyciach, prywatyzacji, mafiach, a przede wszystkim o możliwościach jakie się podówczas otworzyły.

– Chyba nie dla wszystkich Włodziu – zdołałem wtrącić.

Ale Włodzio był zdania, że dla wszystkich, i że jak ktoś chciał robić pieniądze i miał łeb na karku to w krótkim czasie mógł dojść do milionów. Rzucał przykładami, nazwiskami, przytaczał całe historie błyskawicznych karier – głównie finansowych.

– Bo widzisz Marcin – teraz mamy 2004 i wiele rzeczy się uspokoiło, ale mówię tu o samym początku, sprzed prawie piętnastu lat. Wszyscy wtedy – jak zwariowani – mówili tylko o pieniądzach. Kasa, kasa – tylko o tym! Teraz mówi się raczej o emeryturach i jak się do nich doczołgać, ale też o czym mówić? Kto się miał nachapać, to się nachapał. Ja sam też się już nie szarpię. Po co mi drugi zawał – sam powiedz? Wystarczy mi to co mam.

Ale cały czas nie mogłem się od niego dowiedzieć co przez te piętnaście lat – od 1989 – robił. Jak się urządził w nowych warunkach.

Włodek omijał te pytania. Mówił ogólnikami: „Wiesz jak jest – trzeba jakoś żyć! Jakoś tam dajemy sobie radę, z głodu nie umieramy...” i temu podobne głupoty. Wyglądało na to, że z czasów dyrektorowania wyniósł ładne pieniądze i żyje z kapitału, ale Ewa – może po tej wódeczce – wygadała się trochę i przynosząc kawę i ciasta powiedziała:

– Mówię ci Marcin, że też bym chciała wyjechać. Włodzio to walczy z tymi fabrykami i przez to tu siedzimy, ale powiem ci, że wszystko tu jest jakieś nerwowe, nikomu nie można wierzyć i cały czas w strachu...

W tym momencie Włodzio, chociaż już ździebko podcięty, popatrzył na nią takim wzrokiem, że Ewa aż spłonęła i zamilkła w pół słowa.

– Jakie fabryki Włodziu? – zaraz zapytałem, ale już w momencie zadawania tego pytania widziałem, że popełniłem błąd.

– Nie wiem co ta moja cipcia plecie – chyba było o jednego za dużo... powiedział twardo i widziałem, że jest zły, więc przestałem, a Ewa siedziała milcząco aż do końca.

Wyszedłem późnym wieczorem i nie powiem – było miło – ale po tej uwadze Ewki, atmosfera jakby się troszeczkę zważyła. Ciągle jeszcze było dużo namawiania do jedzenia, dużo śmiechu i żartów. Na koniec piliśmy Martella, a ja zrozumiałem, że z tego tonącego Titanica jakim była polska gospodarka późnych lat osiemdziesiątych Włodek zdążył uratować coś dla siebie i nie wyszedł z pustymi rękami.

Z jego poprzednich opowiadań zrozumiałem, że wielu prominentów kończącej się Polski Ludowej umiało zabezpieczyć sobie na własność zakłady, w których wcześniej byli dyrektorami.

Dłaczego Włodziewie mieli by się bać i dlaczego Ewa myślała o wyjeździe nie wiem, ale mogłem się dość łatwo domyślać.

Takie były moje spotkania i przeżycia w czasie tych krótkich pięciu dni 2004 roku.

Staszek Manturzewski, Włodzio, paru kuzynów – wszyscy na pewno zadowoleni, ale jednocześnie jakby żałujący minionego. Każdy z innych powodów, to na pewno, ale mimo wszystko jakby odrobinę zagubieni.

Jedyną osobą, która mogła mieć inny, ale prawdopodobnie bardzo

trzeźwy osąd polskich spraw i niebywałego rozwoju gospodarczego był mój wuj Stefan Moysa- Rosochacki.

Otóż wuj Stefan był w naszej rodzinie kimś prawdziwie specjalnym! Przede wszystkim był powiernikiem, doradcą, psychologiem i po prostu dobrym człowiekiem.

Niezwykle dyskretny i mądry, nie raz i nie dwa podtrzymywał na duchu, radził i wręcz pomagał. Nie miał swojej rodziny, był kawalerem, w dużej mierze poświęconym nauce.

Po trochę zwariowanej rozmowie ze Staszkiem i tej drugiej z Włodziem, chciałem pogadać z kimś neutralnym, który w latach komunistycznych nie był ani po jednej ani po drugiej stronie, a po ustrojowej transformacji nic nie stracił ani niczego nie zyskał. Bo wuj Stefan był jezuitą.

Prawdę mówiąc poszedłem do niego żeby trochę odpocząć po paru ruchliwych dniach biegania po Warszawie, spotkaniach i zwiedzaniach. W obecności wuja Stefana zawsze czuło się spokój. Z całą pewnością sprzyjała temu klasztorna cisza. U wuja zawsze było kojąco.

Żeby to lepiej zobrazować muszę zrobić małą dygresję, ale tylko na chwilę i na pewno wrócę do wuja i do końcówki mojego pobytu w Polsce 2004- go roku.

W mojej szkole był taki zwyczaj, że zaraz na początku pierwszego roku szkolnego – a była to podówczas klasa ósma – wszyscy nowi uczniowie jechali na tygodniowy biwak. Jak już wielokrotnie mówiłem to była męska szkoła, mieściła się w Warszawie na Mokotowie i należała do Stowarzyszenia PAX.

Ten zapoznawczy biwak miał na celu przygotowanie nowych uczniów do warunków, zasad i wymagań szkoły i wdrożenie ich w jej klimat.

Biwak organizowany był w pięknym ośrodku Stowarzyszenia w Zakroczymiu nad Wisłą. Ogromny teren, domki kempingowe,

stołówka, miejsce na wieczorne ognisko, a także – co już się nam trochę mniej podobało – wydzielone miejsce, gdzie odbywały się lekcje pod chmurką. Te lekcje były raczej ulgowe i nie najważniejsze, bo głównie chodziło o poznanie się, zgranie i nawiązanie koleżeńskich więzi.

Jedzenie było świetne, zajęć fizycznych mnóstwo, konkursy, biegi i sporo fizycznego wysiłku. Jednym słowem znakomity wstęp do szkolnej orki, wściekłych klasówek, jeszcze wścieklejszych kartków z matematyki których nie cierpialem z całego serca!

W ogóle nigdy nie rozumialem po co jest to nieustanne sprawdzanie poziomu mojej wiedzy! Przecież uczyłem się dla siebie! Nie mogłem tego pojąć, dlaczego komuś zależy na tym żeby mnie torturować sprawdzianami i odpytywaniami.

Ale wracam do rzeczy. Otóż mój biwak przypadł na wrzesień 1963. Mieszkałem z trzema kolegami. Nowymi kolegami, bo ostatecznie wszystko było dla mnie nowe.

W dwa dni po przyjeździe, o szarym świcie, ktoś zapukał do okna naszego domku. Wszyscy czterej porwaliśmy się na równe nogi, bo wiadomo – nowe miejsce, chłodno, spaliśmy jak psy na pudle. Ale nie było żadnego alarmu. Po prostu nasz kapelan – ojciec Robert – szukał kogoś, kto posłużyłby mu jako ministrant przy mszy świętej.

Tak, to był ten sam ojciec Robert, który trzy lata później wspominał na lekcji religii profesora Kotarbińskiego nazywając go nestorem polskich ateistów.

Koledzy siedzieli cicho – widocznie nie widzieli się wczesnym rankiem w zimnym kościele – więc wziąłem na odwagę i zgodziłem się pójść.

Poszliśmy we dwóch – to jest ojciec Robert i ja – do pobliskiego klasztoru ojców Kapucynów. Msza św. przy przy bocznym ołtarzu i prawie pustym kościele. Parę starszych

kobiet, przemykający gdzieś zakonnik, a poza tym żywego ducha. Wrześniowy, ciepły ranek, słońce prześwitujące przez witraże i ciche słowa modlitw wpływały na mnie uspokajająco i jakby domowo.

Trzeba bowiem powiedzieć, że ten początkowy czas w nowej szkole, środowisku i mieście był dla mnie – jak to się dziś mówi – stresujący. Myślę, że nie tylko dla mnie. To tak jak pierwsze dni w wojsku, czy pierwsze minuty czy godziny w więzieniu, które decydują o tym co będzie, jak będziesz traktowany i jakie zajmiesz miejsce. Nie wiem czy wyrażam się jasno, ale chodzi o to, że męskie środowiska takie już są – liczy się pierwsze wrażenie.

A po mszy św. ojcowie kapucyni zaprosili nas na śniadanie. Słoneczny refektarz, duży drewniany stół i dobre, proste śniadanie. Mleko, chleb, ser i miód. Siedzieliśmy w pięciu – trzech zakonników, ojciec Robert i ja. Brązowe habity, białe sznury i sandały na gołe stopy. I wszyscy byli niezwykle serdeczni. Ale nie mówiło się o sprawach religijnych, chociaż mogłoby się to wydawać naturalne... Nie, nic z tych rzeczy. Mówiliśmy trochę o mojej szkole i pytano skąd jestem, ale szybko rozmowa zeszła na gołębie, bo jeden z ojców był zapalonym gołębiarzem i trzymał ich około setki w przy klasztorным gołębniku. Miał na imię Leon i faktycznie znał się na rzeczy. Opowiadał tak ciekawie o inteligencji i zmyśle orientacyjnym tych fascynujących ptaków, że zaraz po śniadaniu poszliśmy je zobaczyć.

Trochę się denerwowałem, że spóźnię się na biwakowe zajęcia, ale ojciec Robert uspokoił mnie mówiąc, że bierze wszystko na siebie i na pewno nie będę miał kłopotów.

Ten cichy klasztor, spokojne śniadanie z zakonnikami i oglądanie gołębi było dla mnie niezwykle odprężające i miłe. Tak jakby mnie moja babcia pogłaskała ciepłą ręką po głowie.

I ten czas był może najlepszym lekarstwem na moje niepokoje

związane z rozpoczynającą się szkołą i wszystkim co było z nią związane.

Aksamitny dotyk tamtego poranka pamiętam do dziś.

W 2004 roku idąc na spotkanie z moim wujem do klasztoru ojców Jezuitów na Rakowieckiej czułem jakbym wracał do tego spokojnego klasztoru kapucynów, cichego kościoła i gołębi ojca Leona.

Ale zaraz po pierwszych słowach powitania zauważyłem, że wuj nie chce rozmawiać ani o zmianach, ani o polityce, ani o rosnącym dobrobycie.

To było diametralnie inne spotkanie niż poprzednie – w willi mojego kolegi Włodzia. Siedziałem u wuja w celi, którą był obszerny, zawałony książkami pokój z dużym oknem wychodzącym na ogród. Podobnie jak tam, w zakroczymskim klasztorze ojców kapucynów, tak i tu gruchały gołębie i od czasu do czasu zrywały się z łopotem i leciały małą gromadką gdzieś ponad klasztorem, Rakowiecką, wielkim więzieniem, aż gdzieś w kierunku kina Moskwa i Łazienek.

Wuj chciał raczej wiedzieć co u mnie, jak dzieci, jak się nam ułożyło i jakie mamy plany. Na moje pytania o Polskę odpowiadał tylko, że Polska jest tak wolna jak nigdy i Bogu trzeba za to dziękować.

I tak dobiegła końca moja pierwsza wizyta w Kraju.

Jakżeż inna od tych późniejszych, a w szczególności ostatnich, które także minęły, ale zostawiły tyle wspomnień i wzruszeń!

W marcu 2018 roku wracaliśmy do Kanady. Do domu.

Jechaliśmy na Okęcie mijając niezliczoną ilość rond, bo ronda są wizytówką polskich dróg i ulic.

Warszawa była szara i zimna. Czekając na samolot przypominałem sobie wszystkie moje wizyty w Kraju, spacer po Warszawie,

wycieczki do innych miast... Przypominałem sobie też te wcześniejsze i zorientowałem się, że za każdym razem widziałem Polskę inaczej. Zawsze była inna a jednocześnie ta sama. Bo przecież wiadomo, że Polska jest jedna.

A potem samolot wzbił się w niebo i przez marcowe chmury ujrzałem jeszcze raz Warszawę, która oddalała się dalej i dalej, niknąc powoli z moich oczu.

Drodzy Przyjaciele – na tym kończy się moje wspomnienie z Polski. Dziękuję Wam za Wasze zainteresowanie, pochwały, komplementy i ciepłe opinie! Dawały mi ogromnie dużo zadowolenia i radości!

KONIEC

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net